



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Salomea Nieznańska-Milanowska

## Wspomnienie z Uralu

### Koniec lat trzydziestych

Pod koniec lat trzydziestych moje rodzeństwo już się pourządzało. Henryś pracował ze Stefcją na roli. Mieli już troje dzieci: syna Czesława, córkę Alicję, a w 1938 roku urodził się ich najmłodszy syn Edward.

Janiu skończył budowę domu, zamieszkał w nim i dojeżdżał na niedzielę do Hołoboczka do żony i córki Lidii. Druga córeczka – Janina Elżbieta – urodziła się podczas wojny w 1942 roku.

Hela z Dołem gospodarzyli na swojej działce i wykończyli budowę domu. Dwaj synowie, Boguś i Julek, byli dla nich prawdziwą radością.

Marysia i Ignac cieszyli się dwójką synów, Lesiem i Zygmusiem. Prowadzony przez Ignaca warsztat stolarski dobrze prosperował.

Tosiek na Wołyniu ciągle robił jakieś interesy i z powodzeniem prowadził swój sklep. Marysia, jego żona uczyła w szkole, a dzieci Krysię i Zbysia wychowywała babcia Trocka.

Broniu skończył studia handlowe i długo nie mógł dostać pracy. W końcu dostał jakąś lichą posadę urzędnika, z której ciężko byłoby mu się utrzymać bez pomocy rodziców. Na razie nie mógł marzyć o ożenku.

Ja chodziłam do gimnazjum sióstr Nazaretanek we Lwowie.

Nie pamiętam dokładnie, który to był rok... Na lekcji geografii pani profesor powiedziała nam, że Związek Radziecki to bogaty kraj, posiadający ogromne zasoby mineralne. Na Uralu wydobywa się złoto i diamenty. Powiedziała też, że skarby te wydobywa się niegospodarnie. Na zboczach gór niszczejają maszyny wiertnicze, a wyrobiska nie są do końca eksploatowane. Pomyślałam wówczas – pamiętam to jak dziś – a ja tam będę i to zobaczę. I zobaczyłem! Kiedy pracowałam w doświadczalnej kopalni złota i diamentów było dokładnie tak, jak mówiła nauczycielka. Ale o tym później.

Wnuki moich rodziców z wielką radością przyjeżdżały do Edwardówki na wakacje i wszystkie dni wolne od nauki. Do dziś wspominają tamte czasy z rozrzewnieniem. Lesiu Musur mówi, że nigdy nie zapomni zapachu tamtych pól i łąk. Boguś Zenkner opowiada, jak podjadał słodkie bułeczki, które często leżały na białym obrusie w pokoju gościnnym w domu dziadków. Chłopcy łowili ryby i raki w kanale, jeździli na koniach i czasem pomagali w pracy na roli.

W drugiej połowie lat trzydziestych we Lwowie wybuchały strajki. Było ogromne bezrobocie. Robotnicy chodzili po wsiach i prosili o chleb. Pamiętam demonstracyjny pogrzeb zabitego przez

policej robotnika, Kozaka. Na ulicach powstały barykady z tramwajów. Godzinami siedł kondukt pogrzebowy na cmentarz Janowski, a ja wystraszona stałam w jakiejś bramie i nie mogłam wrócić do domu.

W województwie rzeszowskim strajkowali chłopci. Coraz częściej mówiono o wojnie. Ludzie byli wystraszeni i nieufni. Wielu dobrze pamiętało ostatnią wojnę i nic dziwnego, że bali się nawet myśleć o niej. W powietrzu unosił się niepokój i groza. Widmo nieszczęść stało przed oczyma narodu.

## Widmo wojny

We wrześniu 1939 roku radio podało złowieszczą wiadomość – Niemcy przekroczyli granicę Polski. Zaczęło się najgorsze. Na dworzec kolejowy we Lwowie spadły bomby. Pobiegłam przez pola z Sygniówki na ulicę Grudecką do WKR, żeby zgłosić się do wojska jako sanitariuszka. Już było za późno. Nikogo nie przyjmowano. Zresztą i tak by mnie nie przyjęli, bo miałam wówczas 16 lat. Wraciałam do domu ze łzami w oczach. Na front zostali powołani bracia Henryś i Broniu. Wyjechałam na wieś do rodziców. Na wieść o kapitulacji jakiś młody oficer zastrzelił się na polu pod lasem.

Wkrótce do domu wrócił zrozpaczony Henryś. Cudem uszedł niemieckiej niewoli. Broniu dostał się do niemieckiej niewoli, z której uciekł dopiero w grudniu przed Bożym Narodzeniem. Sąsiadka, pani Ciapowa, wielka patriotka, kiedy jeden z jej synów wrócił z przegranej wojny, powiedziała: „Wolałabym, żebyś ty synu nie wrócił, a żeby ocalała nasza Polska”.

Przez mój rodzinny dom przechodziły grupy polskich żołnierzy i oficerów. Mama i bratowa Stefcia bez przerwy piekły chleb i gotowały posiłki. W sadzie stały stoły i ławy dla wciąż nadchodzących uciekinierów.

Zatrzymali się u nas bracia bratowej Stasi z Hołoboczka – Kazimierz i Tadeusz, oficerowie rezerwy, już przebrani w cywilne ubrania. Pewnego razu dotarli do nas dwaj oficerowie, kuzyni Stefci, Zdzisław i Zbigniew Krygowsy z Błażowej. Jeden z nich, artysta malarz, przysłał Stefci w 1991 roku katalog swojej wystawy organizowanej przez Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie i napisał w nim: „W 1939 roku byłam w Edwardówce, w tych ciężkich chwilach miałem szczęście poznać rodzinę Nieznańskich”. Jakie to miłe przesłanie z tamtych odległych lat. Zbigniew Krygowski, utalentowany rzeźbiarz i artysta malarz, który studiował i swą sztukę doskonalił w Zakopanem, Poznaniu, Paryżu i Krakowie już nie żyje. A tych kilka słów, które napisał w czarno białym katalogu, to żegnające nas dobre wspomnienie napisane ręką wyciągniętą z dalekiej przeszłości w przyszłość.

Coraz więcej przerażonych uciekinierów przechodziło przez naszą kolonię. Takie osiedla jak nasze były oazami polskości wśród morza wsi ukraińskich, w których pilnie pracujący nad tym ukraińscy nacjonałiści nauczali prosty lud ruski nienawiści do Polaków. We wsi Ceperów pop w cerkwi w swoich kazaniach zagrzewał Ukraińców do walki z Polakami. Jego dwaj synowie studiujący w Berlinie, prowadzili normalne ćwiczenia poligonowe z młodymi chłopcami ze wsi. Na wiejskim pastwisku rozlegała się komenda w języku ukraińskim, a dzielni chłopcy rażno wymachiwali kijami zamiast karabinów. Już od dawna budzono ducha patriotycznego wśród byłych Rusinów. W cerkwi św. Jura we Lwowie sowieckie wojska po wkroczeniu do Lwowa odkryły ogromny arsenał broni. W szkole nauczycielka, która uczyła nas ukraińskiego, demonstracyjnie nosiła haftowany strój narodowy i nigdy nie rozmawiała z nami po polsku.

Nagle jakby wszystko zamilkło. Wojskowi uchodźcy docierali do granicy z Rumunią. Do nas na wieść dotarła wiadomość, że do Lwowa weszli Sowietzi. Wesołe ulice Lwowa stały się smutne i szare i nigdy już nie wróciły do swej dawnej świetności. Żony radzieckich oficerów widywano w teatrze w haftowanych nocnych koszulach, co budziło zdziwienie i litość, a także było powodem złośliwych dowcipów lwowskiej ulicy. Z bogatych sklepów zniknęły wszystkie towary. Nasi „wyzwoliciele” kupowali wszystko jak leci, nie zwracając uwagi na gatunek i rozmiar odzieży. Znaleźli się nagle w nieznanym im „Eldorado”. Chcieli się szybko zaopatrzyć we wszystko co się dało, bo nie wiadomo, czy taka możliwość jeszcze się kiedyś dla nich powtórzy. Na ulicach było pełno szarych żołnierzy w dziwnych rogatych czapkach, którzy z niedowierzaniem oglądali bogate i kolorowe miasto.

Zrozumiałam, że to nie domy i pałace nadają charakter miastu. To ludzie, ich sposób ubierania się, chodzenia, poruszania się wśród ulic, w środkach transportu. To oni tworzą obraz wewnątrz martwej zabudowy. Nasze miasto zaczęło zmieniać swoją twarz z otwartej i uśmiechniętej na smutną i ponurą.

Pod koniec września 1939 roku byłam u rodziców na wsi. Mama powiedziała mi, że na szosie niedaleko od naszej kolonii, przy kolonii Podliski, pracują polscy oficerowie, których radzieccy żołnierze pędzą w głąb Rosji. Dała mi dwa bochenki chleba i kazała im zanieść. Pilnujący oficerów żołnierze pozwolili dać im chleb. Odbierający chleb oficer wsunął mi do ręki złoty sygnet i powiedział: „mnie się już nie przyda a może pani w czymś pomoże”. Ten oficer pewnie zginął w Katyniu, a pierścień też został na ziemi radzieckiej. Wiosną 1941 roku, kiedy byłam deportowana na Ural, oddałam ten pierścień sąsia-

dowi, który wybierał się w tajgę do mieszkających tam od dawna Rosjan. Chciał zamienić jakieś rzeczy na żywność dla dzieci. Sąsiad zginął w tajdze i nie wrócił ani do swoich dzieci ani do nas.

W grudniu 1939 roku jechałam ze Lwowa do rodziców na święta Bożego Narodzenia. Od stacji kolejowej Barszczowice do Edwardówki było osiem kilometrów. Był późny wieczór, niosłam na ramieniu choinkę, bo w pobliżu mojej wioski rosły tylko liściaste lasy. Za mną z pociągu wyskoczył radziecki żołnierz. Podszedł do mnie i zaproponował, że poniesie moją choinkę – zgodziłam się. Znałam dobrze język ukraiński, a on był Ukraińcem. Nie pamiętam już o czym rozmawialiśmy. Zapamiętałam tylko, jak powiedział, że oni przyszedli wyzwolić Ukrainę, co mnie bardzo zabolalo. Minęliśmy miasteczko Jaryczów Nowy, w którym stacjonowała jego jednostka, a on niósł moją choinkę jeszcze sześć kilometrów, aż pod mój dom. Kiedy opowiedziałam ojcu o tym, kto przyniósł moją choinkę, powiedział, że powinienam była zaprosić tego żołnierza na kubek gorącego mleka. Wszyscy w domu dziwili się, że bolszewik, a taki grzeczny.

Dziesiątego lutego 1940 roku o północy, do domu moich rodziców załomotały karabiny. Mój najstarszy brat otworzył drzwi. Do mieszkania weszło kilku czerwoarmistów z bagnetami na karabinach. Kazali nam się ubrać. Brata postawili pod ścianą z rękoma podniesionymi do góry. Dzieci brata, a było ich troje, płakały. Bratowej i mnie kazali zabrać ciepłe rzeczy i coś do jedzenia. Ojca nie było w domu. Pojechał końmi do cici w Derewlanach i miał wrócić następnego dnia. Mama była u siostry Heli we Lwowie i dzięki temu nie została wywieziona.

Przed dom zajęchały sanie Ukraińców z sąsiedniej wsi, z Ceperowa. Bratowa przytomnie zabrała pierzyny i posadziła w nie dzieci. Złapałam kilka bochenków chleba, jakieś garnki. Nikt się niczego takiego nie spodziewał. Wyszliśmy o świcie z domu, który własnymi rękami budowali ojciec i bracia. Przy tajni rwał się z łańcucha duży wilczur Lord, przerażony niezwykłym hałasem obcych ludzi.

Nad ranem żaloszny pochód ruszył do stacji kolejowej w Zapytowie. Z sąsiednich domów wyganiano mieszkańców w mroźną noc. Słysząc było płacz. Na saniach jechały dzieci i skromny dobytek, jaki skazańcy zdołali zabrać. Za saniami szli płaczący mężczyźni i kobiety. Po obu stronach tej strasznej procesji szli radzieccy żołnierze z bagnetami na karabinach.

W Zapytowie czekały na nas bydłce wagony, wewnątrz drewniane prycze, żelazny piecyk, przy nim kilka polan drewna. W podłodze dziura zamiast ubikacji. Jeszcze przez cały dzień dowożono nowych wysiedleńców. Przyjechał też mój ojciec i sam oddał się w ręce żołnierzy. My cieszyliśmy się, że może uda mu się uniknąć zsyłki, on zdecydował inaczej.

Dwunastego lutego ruszyliśmy na wschód. W tej tragicznej podróży chciał nam towarzyszyć nasz ulubiony czarno-biały kundel Kajtek. Biegł w sporej odległości od sań aż do Zapytowa. Kiedy wsadzono nas do pociągu, siedział naprzeciw naszego wagonu na zaspie śnieżnej. A kiedy pociąg ruszył, wierny pies przyjaciel, biegł za pociągiem aż w końcu zginął nam z oczu i rozpułnął się w śnieżnej pustyni.

Trudno sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy wśród konwojujących nas w drodze na Sybir żołnierzy, zobaczyłam owego milego krasnoarmiejca, który niósł moją choinkę przed Bożym Narodzeniem. Ta choinka ustrojona świątecznie została w naszym pustym domu.

Zima w 1940 roku była wyjątkowo mroźna. U nas było 30 stopni mrozu, a tam, dokąd nas wieziono, 40 stopni. Żelazny piecyk nie dawał wiele ciepła. Nocą przymarzały mi warkocze do ścian wagonu. Dzieci przed przemarzeniem chroniły zabrane z domu pierzyny. W każdym wagonie jechało po kilka rodzin konwojowanych przez dwóch żołnierzy. Do wagonu, w którym nas ulokowano, wsadzono rodzinę Romka Musura, brata mojego szwagra i jeszcze jakieś nieznajome nam rodziny z dalszych okolic. Romka wywieziono wraz z żoną Stasia, czwórka dorastających dzieci i staruszką mamą. Henryś i Romek ucieszyli się, że są razem i będą mogli podyskutować o naszej tragicznej sytuacji. Wszystkich nas przerażał los Edzia. Nie mieliśmy dla niego odpowiedniego jedzenia. Był malutki, miał półtora roku. Mój ojciec z Romanem zbudowali z prześcieradła parawan nad dziurą w podłodze wagonu, co pozwoliło nam unikać skrupowania podczas nieodzownych czynności.

## Na Uralu

Do miejsca przeznaczenia jechaliśmy miesiąc przez zimowy pejzaż smutnej Rosji. Omijaliśmy większe stacje. Po drodze czasami dawano nam gorącą wodę, kilka bochenków chleba, zupę i drewno do piecyka. Zmarłych wynoszono na nieznanach stacjach i nie wiadomo, gdzie ich chowano. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, po azjatyckiej stronie Uralu, wysadzono nas na stacji Tiopłaja Góra. Kazano nam przesiąść się na sanie zaprzężone w jednego konia. Na saniach umocowane były duże wiklinowe kosze z sianem. Tam wsiedliśmy. Woźnica stał na płozach sań i gwizdał na konia. Kiedy ujrzałam świerki i sosny osnute chrobotkiem reniferowym, domyśliłam się, że jesteśmy w tajdze syberyjskiej.

Przed nami było 90 kilometrów drogi do miejsca przeznaczenia. Była zima i dni na Uralu bardzo krótkie. Po północy zatrzymaliśmy się w posiołku Miedwiedka. Było to w połowie drogi do celu naszej podróży. Tam przenocowaliśmy w ogrzanych barakach kładąc się pokotem na podłodze. Rano

dostaliśmy gorącą zupę i kazano nam siadać na sianie. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Na miejscu przywitała nas duża leśna polana, a na niej równo ustawione drewniane baraki. Później dowiedziałam się, że wybudowali je Ukraińcy przesiedleni w 1936 roku ze wschodniej Ukrainy. Kiedy nas przywieziono, Ukraińców już tam nie było. W lesie za osiedlem pozostał duży cmentarz byłych mieszkańców posesiołka, a na nim pokrzywione drewniane krzyże.

Dotarliśmy do Tiuszowej, wioski zagubionej w niekończącej się tajdze i ogromnych zaspach śniegu. Na środku osiedla znajdowała się „kantora”, coś w rodzaju biura. Kiedy zebraliśmy się przed tą kantora okazało się, że wiele rodzin z naszych okolic pojechało dalej na Sybir, a z nami zostali osadnicy z innych województw. W każdym baraku były dwie izby. W każdej izbie umieszczono po jednej dużej lub po dwie mniejsze rodziny. Nam udało się zamieszkać w jednym baraku z rodziną Romana Musura. W każdej izbie do przewodu kominowego wspólnego dla obu izb dobudowano piece kuchenne z żelazną płytą. Całe umeblowanie to stół i drewniane prycze. Od nieuszczelnego okna i drzwi wiał wiatr. Na wyposażeniu baraku były też „koromysła” – drewniane nosidła do noszenia wody, po którą trzeba było chodzić do potoku w kotłinę za posesiołkiem.

W budynku szkolnym zrobiono nam zebranie. Za stołem zasiedli komendant osiedla ze swoim zastępcą i jacyś ich zwierzchnicy z rejonu w Czusowej.

Nasz komendant był szczupłym, wysokim brunetem i nosił ciemny mundur oficera NKWD. Jego zastępca był niewysoki, o mongolskich rysach twarzy i nieufnym spojrzeniu. Na tym zebraniu zaczęto nas uświadamiać. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy wrogami Związku

Radzieckiego i za karę zostaliśmy wysiedleni w te strony. Nazywamy się „specposielennyje” co znaczy „specprzesiedleńcy”. Powiedziano nam, że musimy wykazać się dobrą pracą i wyrobionymi normami. Nie należą się nam żadne dokumenty i jesteśmy pod ścisłą opieką NKWD. Próby ucieczki będą surowo karane. Hasło przewodnie jakie powinniśmy pamiętać, to: „kto nie pracuje, ten nie je”. Stąd prosty wniosek, kto lepiej pracuje, ten lepiej je. Do pracy przy wyrębie lasu zmuszeni są stawić się wszyscy dorośli od osiemnastego roku życia. Młodzież i starsi dostaną lżejszą pracę. W tej tajdze i w tym posesiołku żyć będziemy do śmierci. Tylko nasze dzieci, jeśli im się powiedzie, będą mogły się uczyć w mieście rejonowym, a może nawet tam zamieszkać. „Ty durak” – powiedziała jedna z wywiezionych staruszek – „ty tu zostaniesz, a my wrócimy do Polski!” Ta sama staruszka, kiedy nas zwolniono spod opieki NKWD w 1941 roku, powiedziała komendantowi: „Widzisz, miałam rację, ty tu zostaniesz, a my wrócimy do Polski”.

Na naszym osiedlu oprócz opiekunów z ramienia NKWD mieszkali jeszcze naczelnik posesiołka, młody dwudziestoparoletni chłopak o bujnej blond czuprynie i majster, mały, bezzębny starszy człowiek z siwiejącą bródką i uśmiechniętymi oczami.

Po zebraniu zrobiono spis nadających się do pracy w lesie. Ponieważ ja znałam cyrylicę, bo uczyłam się języka ukraińskiego, posadzono mnie do spisywania obecnych. Zdziwiłam się, kiedy do pisania dano mi arkusz papieru pakunkowego, tak podłego gatunku, że sterczały z niego drzazgi i kopiowy ołówek skakał po nim jak po tarce. Musiałam papier pociąć, narysować na nim linie i dopiero wtedy zabrać się do pisania. Po sporządzeniu spisów, majster podzielił robotników na brygady. W lesie mieli pracować mężczyźni i kobiety. Kobiet drwali było mało, bo większość z nich miała małe dzieci i dzięki temu były zwolnione z ciężkiej pracy.

Na drugi dzień kazano zgłosić się do pracy. Dali nam watowane spodnie, kufajki, kawałki koca i parcianego płótna, łapcie, czapki uszanki, siekiery, piły i poprowadzono w las. To watowane umundurowanie miało ogromną zaletę. Chroniło nawet przed czterdziestostopniowym mrozem. Nogi owijało się kawałkami koca, następnie pasami parcianego płótna, żeby śnieg nie przywierał. Następnie nakładano łapcie z długimi lipowymi sznurkami, którymi należało nogi opleść aż do kolan, żeby łapcie nie spadały i nie rozwijał się koc i płótno. W łapciach nogi nie marzły nawet wiosną, kiedy topił się śnieg i przemakały onuce z koca. Obmarznięte dookoła łapcie tworzyły jakby buty i chroniły nogi. Miały one jeden wielki mankament, szybko zdzierały się na twardym śniegu i co kilka dni trzeba je było zmieniać.

Mój ojciec ze względu na wiek, miał 70 lat, nie mógł pracować w lesie. On jednak chciał nam pomóc i zaczął wyplatać łapcie z lipowego łyka, które przywożono z jakichś odległych lipowych lasów. Miejscowi specjaliści od wyplatania łapci dziwili się, że tak szybko nauczył się tej trudnej sztuki.

Niedługo mój kochany ojciec, oddany bez reszty swoim dzieciom, wytrzymał w tej pracy. On ze względu na nas oddał się w ręce prześladowców i pojechał z nami na Ural. Myślał, że nam pomoże. Aresztowano przecież jego najstarsze i najmłodsze dziecko, a także ukochane wnuki i synową. Liczył pewnie na to, że wykorzysta swoje życiowe doświadczenie, by ulżyć doli wywiezionych. Zapomniał, że był chory i przed samą wojną leżał we Lwowie w szpitalu, ponieważ miał chore nerki. Nic mu nie mogła pomóc niedouczona młoda felczerka w Tiuszowej. Mój tato zmarł 24 marca 1940 roku, z dala od swej ukochanej żony, bezdomny, wśród obcych i na obcej ziemi.

Mnie dano pracę roznosiciela gorącej wody do działek, gdzie drwale rąbali las. W ogromnej beczce z kranem gotowałam wodę, wlewałam ją do żelaznych kociołków i roznosiłam drwalom. Oni mieli przy

sobie blaszane kubki, wrzucali do tego wrzątku herbatę albo suchy chleb i tak posilali się i rozgrzewali. To robiłam do południa. Później nosiłam pocięte gałęzie na stosy i spalałam je, aby wyschnięte latem nie sprzyjały pożarom.

W dniu śmierci mego ojca ociągałam się z wyjściem do pracy. W końcu wybiegłam i wskoczyłam na sanie powożone przez Uzbeka. W drodze spojrzałam w las i zobaczyłam brzozowy krzyż – tak się ułożyły dwie brzożki. Zeskoczyłam z sań i pobiegłam do posesiołka. Jak wróciłam, bratowa powiedziała: „Tato przed chwilą umarł”.

Pogrzeb mego ojca był pierwszym pogrzebem Polaka w Tiuszowej. Grób mu wykuli w zmarzniętej ziemi brat Henryś i Roman Musur. Na pogrzebie zebrali się wielu towarzyszy niedoli. Odmówiono modlitwy i odśpiewano ulubioną przeze mnie pieśń „W mogile ciemnej śpisz na wieki”. Na grobie, blisko drogi do Tioplej Góry stanął jednoramienny brzozowy krzyż.

Odejście ojca było dla nas tragicznym przeżyciem. Zostaliśmy osieroceni przez najbliższą nam osobę. Zabrakło nam jego spokoju i optymizmu. Czesiu, najstarszy syn Henrysia, narysował na kartce papieru grób dziadzia z krzyżem i wysłał swoim ciotecznym braciom do Lwowa. Ten rysunek oni pamiętają do dziś. A my co niedzielę chodziliśmy odwiedzać grób ukochanego ojca na cmentarzu w Tiuszowej.

Roman Musur miał niesympatyczną dolegliwość. Chorował na hemoroidy. Dzięki tej chorobie nie skierowano go do wyrębu lasu. Dano mu lżejszą pracę przy traczce do cięcia desek. Ponieważ tę pracę musiały wykonywać dwie osoby, wybrał sobie za partnera Henrysia. Dzięki temu nie chodzili do lasu, tylko na posesiołku pilowali deski. To też nie było lekką pracą. Jak Romek czuł się źle, szedł do felczerki i zaczynał zdejmować spodnie. Ona szybko dawała mu zwolnienie bez oglądania chorego miejsca. Wtedy Henryś miał mniej pracy, bo tylko przygotowywał bale do późniejszej obróbki, ale za to nie wyrabiali normy i zarabiali mniej pieniędzy na utrzymanie rodziny.

Roman podczas wywózki w ostatniej chwili rzucił na sanie worek pszenicy i ta pszenica przyjechała z nim na Ural. Aby mógł ziarno spożytkować, musiał je zemleć. Potrzebne były mu żarna. Romek zdecydował, że takie żarna zrobi. I zrobił. Jak tylko ustąpiły śniegi znalazł odpowiednie kamienie i kłocę cedrowe. Siedział wieczorami i majstrował prymitywnymi narzędziami przy swoich żarnach. Uplynieło sporo czasu, zanim jego żona Stasia mogła ugotować dzieciom kaszę z własnego zboża zmielonego na nowych żarnach. Przywieziona pszenica długo wzbogacała skromny jadłospis Musurów.

Polscy chłopcy z czarnoziemnej, słonecznej Ukrainy musieli nagle nauczyć się ścinać ogromne sosny, świerki i brzozy. Drzewo należało ściąć, obciąć gałęzie i pociąć na polana długości 125 centymetrów. Większe kłocę rozłupywano na mniejsze części, takie by można je było układać w stosy wysokie na 150 cm. Każdy drwal powinien ściąć i złożyć 4,5 metra sześciennego drzewa dziennie, taka była norma. Naszym drwalom nigdy to się nie udawało.

Praca trwała 8 godzin. Dojście do dalekiej działki, tam i z powrotem, gęsiego po głębokim śniegu zajmowała dwie godziny. Zimą, kiedy dzień trwał 4 godziny, do pracy wychodziło się nocą i nocą wracało z pracy. Na miejscu wyrębu rozpalano ogromne ognisko i przy nim pilowano zwalone wcześniej drzewa na kłocę. Do miejsca pracy szło się czasami kilkanaście kilometrów. W powrotnej drodze z wyrębu, nocą, zamarzał na śniegu kolonista z kolonii Podliski. Usiadł na śniegu, by odpocząć i już nie wstał. Sanie, które po niego posłano przywozły już tylko zmarzniętą bryłę człowieka.

W dzień ścinano drzewa, by nazajutrz przy świetle ogniska ciąć je na kłody. Żeby można było ściąć drzewo przy ziemi, należało udeptać pod nim ponad półtorametrowej grubości śnieg. Kiedyś, kiedy przechodziłam pomiędzy walącymi się drzewami, ścięta sosna leciała wprost na mnie. Zatrzymała się na gałęziach innych drzew. Kiedy z trudem przedostałam się przez głęboki śnieg w bezpieczne miejsce, sosna runęła wznosząc kłęby białego pyłu. Miałam szczęście.

Ścięte drzewo składano na stokach gór w równe stosy, by majster mógł je wymierzyć. A robił to codziennie pod koniec pracy.

Z dalekiego Uzbekistanu przyjechali kołchoźnicy w watowanych chałatach w kolorowe pasy. Przywieźli ze sobą suszone rodzyńki, które nazywali kiszmisz. Uzbegy mówili źle po rosyjsku i narzekali na swój los. Opowiadali, że jeden z nich, aby uniknąć wyjazdu na Ural, obciął sobie siekierą rękę i został w domu. Z ciepłego Uzbekistanu przysłano ich, by zwozili na saniach drzewo na brzeg rzeki, która wiała się jarem wśród tajgi. Tą rzeką na wiosnę miano spławiać drzewo do Czusowej, gdzie przerabiano je na węgiel drzewny, potrzebny dla radzieckiego przemysłu. Przyjechała też nieduża grupa kołchoźników ze środkowej Rosji.

W Tiuszowej była stołówka, w której codziennie gotowano dwa posiłki. Zapamiętałam, że na śniadanie była zupa z kluskami, a na obiad gęsta kasza jaglana z łyżką oleju. Dziwna była receptura zupy. Z mąki i wody robiono cienkie placki, jak maca i opiekano je na żelaznej płycie kuchennej. Później krojono te placki na wąskie paski, wrzucano do gotującej się wody i już była zupa. Czasami, ale bardzo rzadko, przywożono kartofle i wtedy trafiały one do zupy. Czasami w zupie pływały strzępy mięsa, podobno niedźwiedziego.

Zdarzały się również obiady z kotлетem i jęczmienną kaszą, ale były to dania drogie i nie stać było na nie polskich przesiedleńców. Obiady jedliśmy po pracy, to znaczy wieczorem.

W sklepiku, który prosperował na naszym osiedlu mogliśmy kupić cukierki, czasami mąkę, cukier i chleb na kartki. Chleb dostawaliśmy według normy, innej dla pracujących, a innej dla dzieci i niepracujących. Czasami zaopatrzenie sklepu nas zaskakiwało. Kiedyś przywieziono do niego duży zapas wody kolońskiej. Zdziwiłam się, kiedy zobaczyłam kołchoźników w łapciach z naręczami butelek. Zapytałam majstra, co oni zrobią z taką dużą ilością perfum? Majster śmiejąc się powiedział: „u nich będzie dziś wielki prąznik, oni będą pili całą noc”. Będą mieli pachnący oddech, pomyślałam i przestałam dziwić się czemukolwiek, co zdarzało się w moim nowym życiu.

W posiołku zaczęła działać szkoła, bo w Związku Radzieckim nie mogło być analfabetów. Szykowano się do otwarcia żłobka i przedszkola. We wszystkich tych instytucjach dokarmiano dzieci i mieszkańcy chętnie posyłali tam swoje pociechy. W szkole był problem z papierem. Uczono dzieci pisać na starych gazetach ołówkiem chemicznym. Dzieci chętnie chodziły do tej szkoły, była urozmaicheniem ich monotonnego życia. Uczyla w niej mądra i sympatyczna nauczycielka.

Henryś na Uralu żył w stałej rozpacz. Zamartwiał się losem swoich ukochanych dzieci, dla których wymarzył sobie zupełnie inny los. Najbardziej niepokoiło go to, czy przeżyje najmłodszy synek Edward, dla którego stale brakowało odpowiedniego jedzenia. Henryś przeklinał mieszkańców Ceperowa, dzięki którym zrobiono z naszego ojca „osadnika” i za co zesłano nas na Sybir. To wcale nie było prawdą. Myśmy kupili ziemię na długo przed pierwszą wojną światową, nie dostaliśmy jej darmo za udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku.

O tym, że Henryś miał rację przekonałam się w 1994 roku, kiedy otrzymałam archiwalne zaświadczenie z Miejskiego Archiwum Permskiej Oblaści. Poświadczono, że w ich archiwum znajdują się dane: Obywatel Nieznański Paweł, syn Jana, 1870 rok urodzenia, jako osadnik był zesłany w lutym 1940 roku ze wsi Ceperów lwowskiego rejonu i lwowskiej oblaści na specposielenyje w Czusowski rejon Permskiej oblaści z rodziną w składzie i tu wymieniono dokładnie imiona, imię ojca, stopień pokrewieństwa i daty urodzenia wszystkich wywiezionych.

Biedny Henryś nie wiedział wtedy, że może okrutniejszy los spotkałby go, gdyby został wśród tamtejszych Ukraińców. Po wojnie dowiedział się, że kilka nie wywiezionych rodzin, które zostały w Edwardówce, prześladowano, a nawet zamordowano w bestialski sposób. Rodzinę Sowów, Adolfa, Zofię i ich dwoje dzieci wrzucono do studni i przykryto drutem kolczastym i tak zmarli śmiercią męczeńską. Zrobili to bandyci UPA w 1941 roku. W Edwardówce przy kaplicy zostały trzy siostry zakonne Rodziny Maryi. Jedna z nich Ludwika przez całą wojnę służyła pomocą medyczną mieszkańcom Ceperowa, była wykwalifikowaną pielęgniarką. Za jej poświęcenie tamtejsi Ukraińcy zamordowali ją w 1944 roku.

My na Uralu powoli zaczęliśmy nawiązywać kontakt z rodziną. Przychodziły listy, pieniądze i paczki przysyłane pocztą i bagażem kolejowym. Przysyłano nam kaszę, mąkę, cukier, słoninę, suchary z chleba, czosnek i papier do pisania, bo nie było na czym pisać listów.

Pomoc ta wymagała wiele wysiłku ze strony naszej rodziny mieszkającej we Lwowie. Oni też nie byli w najlepszej sytuacji materialnej. Do Jania zjechała rodzina z Hołoboczka. Rodzice bratowej Stasi i jej siostra Lonia również zostali wywiezieni na Sybir. Jakimś cudem udało się załatwić pozwolenie na ich przyjazd do Lwowa. Janiu kupił dwa konie i wóz, wybudował stajnię a nad nią stryszek, na którym przechowywali się dwaj bracia Stasi – oficerowie i ich sąsiad z Hołoboczka, hrabia Plater. Ponieważ nie było mowy o jakiejś pracy w biurze, Janiu został furmanem i tak jak brat Tosiek przewoził towary do różnych nowopowstałych instytucji.

Rodzina solidarnie wspierała nas, czym kto mógł. We Lwowie najgorzej powodziło się siostrze Heli. Jej mąż Doluś dalej pracował w swojej starej firmie, w Zakładach Wodociągowych. Zarabiał bardzo mało, a musiał utrzymać sześciuosobową rodzinę. U Heli mieszkała moja mama. Jak tylko mogli, to pomagali siostrze jej bracia Janek, Tosiek i Broniu.

Opowiadał mi Boguś, syn Heli, że po naszej wywóźce w Edwardówce długo stały jeszcze nasze puste domy. Wiosną 1940 roku Janiu z Bogusiem bocznymi drogami, żeby ich nie zauważyli Ukraińcy z Ceperowa, pojechali do Edwardówki i wykopali dwie beczki miodu, które przed wojną Janiu zakopał koło pasieki. Udało im się przewieźć te beczki do Lwowa i nawet dwa słoiki miodu z naszej pasieki przysłano nam na Ural.

NKWD o mnie nie zapomniało. Nocą niewyspany majster wezwał mnie do komendanta. Henryś kazał mi ubrać kożuch ojca, bo nie wiadomo co cię czeka. U komendanta siedziało kilku mężczyzn z Czusowej z rejonowego NKWD. Chcieli ze mną porozmawiać. Pytali o czym rozmawiają ze sobą dorośli mężczyźni. Nie wiem, odpowiedziałam, u nas w Polsce młode dziewczyny nie podsłuchują rozmów starszych osób. Dalej pytali, czy nikt nie szykuje się do ucieczki. A ja zapytałam: dokąd? – przecież Polski już nie ma! A czy ludzie narzekają – odpowiedziałam, że tak. Jest im źle, nie mają się czym cieszyć, przecież nie przywieźliście nas do Ameryki. Zresztą, wasi ludzie też narzekają. A kto? Gdzie? Opowiedziałam im, że spotkałam w lesie myśliwego, który zapytał, kto ja jestem. Jak mu opowiedziałam, jak tu się znalazłam, to powiedział: „Wy dopiero tu przyjechaliście, jeszcze zdążyliście

pożyć jak ludzie. A my tu męczymy się już ponad 20 lat”. A jak wyglądał ten człowiek? – zapytano. Normalnie, w fufajce ze strzelbą na nartach, niczym się nie wyróżniał, odpowiedziałam.

Ja rzeczywiście spotkałam w tajdze takiego myśliwego. Tam myśliwi byli do siebie podobni w swoich mrozoodpornych waciakach. Na krótkich nartach przemierzali ogromne połacie tajgi za zwierzyną. Byłam pewna, że mojego rozmówcy nie uda im się znaleźć. Przedstawiciele NKWD doszli do wniosku, że do rozmów się nie nadają i więcej mnie nie zapraszali.

Do komendanta wzywano też inne osoby z naszego osiedla. Był taki chłopak z kolonii Podliski, Broniek M., który dał się namówić na współpracę. Namówił do pozorowanej ucieczki Szczepana Gilarowskiego. Gilarowski zostawił młodą żonę, dwóch małych synów i teściową. Uciekli do Czusowej, gdzie ich złapano. Gilarowskiego aresztowano i zesłano do łagru. A Broniek dostał jakąś lżejszą pracę w mieście i pewnie został na usługach swoich opiekunów.

Tragiczny był los rodziny Gilarowskich, która została w Tiuszowej. Wiosną bano się epidemii tyfusu. Kazano się nam zaszczepić. Szczepiła nas po kolei posiołkowa felczerka. Marysia Gilarowska powiedziała jej, że lekarz we Lwowie zabronił jej przyjmowania jakichkolwiek zastrzyków, bo są jakieś przeciwwskazania. Felczerka zdecydowała, że wie lepiej, co dla niej jest dobre i zaszczepiła ją. Po dwóch dniach Marysia zmarła. Zostawiła dwoje dzieci, Edwarda i Janka, a także chorą matkę. Po jakimś czasie zmarła matka Marysi. Nie pamiętam, kto zaopiekował się sierotami. Wiem, że w 1944 roku wyjechały one wraz ze wszystkimi wysiedleńcami z Tiuszowej na Ukrainę, w okolice Charkowa. Tam Edward został, ożenił się z Ukrainką, a Janek wrócił do Polski i zamieszkał w Przemyślu. Po Szczepanie Gilarowskim słuch zaginął.

## Wiosna

Z nadchodzącą wiosną do pracy w lesie wypędzono kobiety. Ja pracowałam z Rózią Szczuplak. Dostał nam się kawałek rzadkiego lasu z drzewami o cienkich pniach. Nie można było tam naciąć wielu polan. Musiałyśmy drzewa ściąć, wąską piłką z kabłąkiem obciąć gałęzie, porznąć pnie na polana i ułożyć w przymy. Pracowałyśmy cały dzień i naścinałyśmy zaledwie trzy metry sześciennego drzewa, podczas gdy norma wynosiła 3,5 metra sześciennego na osobę.

Wieczorem, wściekły komendant powiedział, że to sabotaż. Wraz z innymi kobietami, które też nie wykonały normy wsadził nas do komórki i zostawił tam na noc. Komórka była mała, a kobiet dużo. Nie było mowy, żeby się położyć. Siedziałyśmy jak śledzie w beczce i całą noc śpiewałyśmy pobożne pieśni. Odśpiewałyśmy nabożeństwo majowe, pieśni do mszy, nieszpory i inne okazjonalne pieśni kościelne. Rano nas wypuszczono. Natasza, urodziwa żona komendanta, powiedziała do mnie: „Wy młodocy – dobrze, że nie dałyście spać temu draniowi!”

Kiedyś stary majster zawołał mnie i powiedział: „Przeniosę cię do pracy z końmi. Będiesz wozić drzewo wagonikami nad rzekę. Jeśli nie wyrobisz normy, to część winy spadnie na konia”. I tak zostałam woźnicą. Konie zaprzęgano między dwa dyszle połączone wygiętym pałakiem. Konie w uprząż ubierali kilkunastoletni chłopcy pracujący w stajni. Moja praca zaczęła się niefortunnie. Na drugi, czy trzeci dzień, kiedy obcinałam sęki z polana, siekiera odskoczyła, uderzyła mnie w usta i złamała mi ząb. Była to rzeczywiście lżejsza praca niż ścinanie drzew. Pech mnie jednak nie opuszczał. Któregoś dnia przyprowadziłam konia do stajni z otartą do krwi szyją. Miał źle założone chomać. Zaczęły się problemy i dochodzenie. Dowiedziałam się, że koń musi przez kilka dni odpoczywać, aż zagoją się rany. Te kilka dni pracy konia przeliczono na pieniądze i okazało się, że jestem winna „lesozagółowkom” kupę pieniędzy. A poza tym przypisali mi sabotaż. Groziło mi aresztowanie. Na szczęście dobry majster wytłumaczył kierownictwu, że to nie ja zakładałam uprząż na konia, tylko trzynastoletni chłopak, a on nie podlega karze aresztu. I tak skończyła się moja pierwsza przygoda z koniem.

W maju 1940 roku zaatakowała nas wiosna. Dziwnie topniały śniegi. Z wierzchu leżał jeszcze miękki śnieg, a pod nim płynęła woda spływająca z gór. Chodziliśmy stale z przemoczonymi nogami. Coraz trudniej pracowało się w lesie. Przygotowywano kolejki do zwożenia drewna nad rzekę. Rąbano długie żerdzie, oczyszczano z kory i na drewnianych podkładach układano je w szyny. Na tych szynach jeździły wagoniki o małych drewnianych kołach z wydrążonym wgłębieniem. To wgłębienie umożliwiało poruszanie się wagoników po szynach. Do wagoników zaprzęgano konia, który szedł pośród szyn i ciągnął ładunek z góry aż nad brzeg potoku. Koń był powożony przez woźnicę. Woźnica szedł obok wózka. Do niego należało załadowanie i rozładowanie pojazdu. Mnie właśnie nie powiodło się w tej ciekawej pracy.

Ruszyła rzeka. Zmobilizowano wszystkich mieszkańców posiołka. Stołówka przygotowywała pożywniejsze jedzenie. Częściej zdarzało się mięso. Do sklepiku przywieziono mnóstwo cukierków i kartofle, niestety zmarznięte. Nauczono nas, jak je gotować. Trzeba je było najpierw wrzucić do zimnej wody i po częściowym rozmrożeniu od razu gotować. Pomimo tych zabiegów były niesmaczne, niczym nie

przypominały smaku naszych kartofli w Edwardówce. Przywieziono też kawałki materiałów – kretonu i satyny, po które natychmiast ustawiła się kolejka tubylców.

Mały górski strumień zamienił się w szeroką rzekę. Zaczął się spław drzewa. Wszyscy, kto żył i nadawał się do pracy zatrudniony był przy tym ogromnym przedsięwzięciu. Pracowano dzień i noc. Należało ułożyć polano wzdłuż brzegu nad rzeką, a później wrzucić je w spieniony nurt, by bez przeszkód dopłynęły do celu. Z bierwion często tworzyły się zatory hamujące przepływ wciąż dorzucanych polan. Wzdłuż brzegu chodzili mężczyźni w gumowych butach. Hakami umieszczonymi na długich drągach rozsuwali piętrzone sterty drzewa, kołysząc się w gęstych od drewna wodach groźnej rzeki. Nie była to łatwa praca. Czasem trzeba było skoczyć na chwiejącą się masę polan i odpychać ją od brzegu. To już graniczyło z tragedią. Śliskie kłody usuwały się spod nóg i śmierć wyzierała z mętnej, rwącej wody.

Rosjanie opowiadali taki smutny dowcip. Kiedyś podczas spławu drewna, majster wydał czterem robotnikom nowe buty. Wszyscy wpadli między płynące kłody i utonęli. Majster powiedział: „Czort bierz chłopów, ale szkoda nowych butów”. Ten dowcip świadczył o tym, jak ceniono człowieka w ówczesnym Związku Radzieckim. Ja też pracowałam przy wrzucaniu bierwion do rzeki i zdarłam niejedne parciane rękawice.

Jak tylko odplynęły ostatnie kłody drewna, odjechali kołchoźnicy uwożąc ze sobą swój ciekawy folklor. Dopalaliśmy w lesie nie spalone zimą sterty gałęzi. Wiosna przeobrażała świat z dnia na dzień. W dolinach jeszcze leżały płachty śniegu, a na stokach gór już tryskały zielone liście brzozy i czeremchy. W powietrzu unosił się zapach parującej ziemi. Strumień wrócił do swojego koryta. Nadchodziło krótkie lato. Było ciepło i lekki wiatr osuszał ścieżki posiołka.

Henryś dalej piłował deski. Na wysokim rusztowaniu leżała kłoda drewna, a dwaj mężczyźni, Roman i Henryś, jeden z góry, drugi z dołu, ciągnęli szeroką piłę i ciąłi twarde bale na deski. Była to ciężka i wyczerpująca praca. Henrysia bolały nogi i puchły. Był osłabiony ciągłym stanem pod trzcinką i brakiem kalorycznego jedzenia. Z zarobionych pieniędzy wiele odliczano za mieszkanie, wyżywienie dzieci w szkole, robocze ubrania i za opiekę nad nami. Do tego jeszcze nasze okrojone zarobki wypłacano zawsze z dużym opóźnieniem. Gdyby nie stała pomoc rodziny ze Lwowa, musielibyśmy przymierać głodem.

Pewnego dnia młody naczelnik posiołka wezwał mnie do kantoru. Kazał mi przepisać wszystkie listy pracujących przesiedleńców. Miałam też posprzątać kantor, przynieść wodę z rzeki i umyć podłogę. Odtąd miało to być moje codzienne zajęcie. Tak powiedział naczelnik. Jak się ściemniło zapaliłam lampę. Przyszedł szef, sprawdził co zrobiłam i pochwalił mój wysiłek. W pewnym momencie zgasił lampę i chciał mnie objąć. Wyrwałam się odpychając go na ścianę. On uderzył ręką o belkę i rozbił zegarek. Ja uciekłam. Zegarek w owym czasie miał ogromną wartość dla młodego Rosjanina i rozpacz naczelnika nie miała granic. Następnego dnia, a była to niedziela, dzień wolny od pracy, przyszedł do nas majster. Ze smutną miną powiedział, że mam nanosić wodę do wszystkich beczek, które stoją przy barakach. Woda miała służyć do gaszenia ewentualnego pożaru. W osiedlu stało kilkadziesiąt baraków i prawie we wszystkich mieszkali Polacy. Mnie nosić wodę pomagała tylko Różia Szczuplak, nasza sąsiadka z Edwardówki. Wodę z rzeki nosiłyśmy całą niedzielę. Następnego dnia skierowano mnie z powrotem do pracy w lesie. Polacy, mieszkańcy osiedla, przyglądali się naszej niedzielnej pracy i byli zadowoleni, że nie dostała mi się lżejsza praca. I tak to w małej społeczności, narodowa zawiść zawędrowała aż na Ural. Ja też byłam zadowolona, że uniknęłam dalszych ataków ze strony naczelnika. Było mi jednak przykro, że tak wyglądała solidarność rodaków.

## Sianokosy

Nagle wybuchło lato. Prażyło słońce i pożerały nas komary i muszki. Chodziliśmy w drelichowych kurtkach i spodniach, w ceratowych butach lub łapciach, a często w rękawicach. Kobiety były owinięte w chusty jak Arabki. Kąśliwe owady wlażyły do butów i do oczu. Cięły tak wściekle, że często z powiek ciekła krew. Człowiek nie nadążał się opędzać. Nad chodzącymi ludźmi płynął w powietrzu, z cichym brzękiem słup owadów i nie było przed nim ratunku. Kobiety, które zbierały w lesie jagody wracały z zakrwawionymi twarzami. A jagód było w bród: lochynie, czarne jagody, czerwone borówki, maliny, żurawiny a przy tym zatręśnienie grzybów. Rosły też tam dziko porzeczki i agrest, ale były tak kwaśne, że nikt ich nie zbierał. Las huczał od brzęczenia jadowitych much, komarów i meszek. Nie sposób było pracować w lesie.

Popędzono nas na sianokosy. Około 80 osób, pieszo, konno lub na dwukołowych wózkach. Zabrano też mego brata Henrysia. Ruszyliśmy w sianokosowy pochód do wielkich leśnych polan oddalonych od naszego posiołka o 40 kilometrów. Tam koszono trawy dla krów, koni i owiec hodowanych przez stałych mieszkańców Uralu. Po drodze podziwialiśmy uroki kwitnącej tajgi. Po obu stronach drogi, którą przechodziliśmy, kwitły: jarzębina, czeremcha i bujne lubiny. Jasnozielone brzozy wychylały się z ciem-



nej zieleni świerków i sosen. Na skłonach gór z zielonej taflii drzew pięły się w górę kopiaste korony syberyjskich cedrów i majestatycznie górowały nad bezmiarem leśnym. Na polanach kwitły kępy dzikich peonii. Kiedy na miejscu zeskokczyłam z konia, nie mogłam chodzić. Bolały mnie nogi od drewnianego siodła, jakie nakładano na małe górskie koniki.

Zamieszkaliśmy w barakach z piętrowymi pryzkami, gdzie z radością powitały nas wszechobecne pluskwy. Przyschnięte, czekały na nas w drewnianych ścianach baraku.

Na sianokosy do Haryzmy pojechały z nami dwie kucharki. Stale dowożono nam prowiant. Zarobki były większe, ale pracowaliśmy po 12 i więcej godzin dziennie. Na niedzielę można było pojechać do Tiuszowej. Była to jednak bardzo męcząca wyprawa. Henryś wybrał się raz, by zobaczyć się z żoną i dziećmi. Polany były rozległe i przewiewne. Wiatr rozpędzał tabuny komarów i mniej dokuczały. Trawa szybko wysychała, grabiono ją, układano w kopki, a na końcu w stogi. Kosiliśmy trawę szczerbiąc kosy o kamienie. Spieszyliśmy się, bo czas naglił. Lato krótkie, a miejsc do koszenia było dużo.

Na sianokosach zastały nas sierpniowe przymrozki. Moja brygada kosiła trawę daleko od miejsca postoju. Musieliśmy przenocować na polanie. Nanosiliśmy drzewa i rozpaliliśmy ognisko. Ułożyliśmy się wokół ogromnego ogniska na płatach brzozy kory. Nie mogliśmy usnąć, bo z jednej strony grzało ognisko, a z drugiej dokuczał mróz. I tak przewracając się z boku na bok, przemęczyliśmy się przez całą noc do rana.

Pierwszy drobny śnieg wypłoszył nas z sianokosów. Wracaliśmy do pracy przy wyrębie lasu. Siano do osiedli rozrzuconych po tajdze zwożono zimą, kiedy śnieg nie był jeszcze zbyt głęboki.

Od rdzennych mieszkańców Uralu, których nieduża grupa pracowała przy sianokosach, dowiedziałam się, że w Związku Radzieckim ludzie dzielą się na tych, którzy siedzieli, siedzą i tych co będą siedzieć w więzieniu. Taka krótka charakterystyka ustroju.

## Geolodzy

Znikły śniegi, komary jeszcze nie gryzły. Pewnej niedzieli przez posiołek przejeżdżali geolodzy. Jechali na koniach. Na koniach wieźli także swój bagaż – skrzynie i namioty. Zatrzymali się na środku osiedla i rozmawiali z Polakami. Pytali skąd jesteście i za co nas wywieźli. Powiedzieli, że na pewno wrócimy do domu. Do mnie podszedł wysoki blondyn, Lonia. Zapytał, w którym baraku mieszkam i obiecał, że nas kiedyś odwiedzi... Geolodzy wiedzieli, że nie wolno im z nami rozmawiać, więc szybko pożegnali się i odjechali. Wkrótce na koniach z bagażem zniknęli na drodze w tajdze.

Jeszcze kilkakrotnie geolodzy przejeżdżali przez nasz posiołek, konno lub ciężarówką, pojedynczo lub grupkami. Jak tylko zastali kogoś z nas w baraku, to zostawiali cukierki dla dzieci.

Lonia pochodził z Moskwy. Zdążyłam mu opowiedzieć, że zmarł nasz ojciec i martwimy się o losy dzieci brata. Wszystko się zmieni, powiedział. Wróćcie do domu, tylko to może jeszcze potrwać.

Pewnego zimowego wieczoru ktoś zapukał do okna. To był Lonia. Przyjechał saniami i poprosił, żebym pojechała z nim na spacer. Zaproponował, że pojedziemy na grób ojca. Noc była jasna. Z wysokich zasp śnieżnych wystawały tylko czubki krzyży. Rozbeczałam się, a on mi tłumaczył, że taki jest los ludzki, wszyscy kiedyś umrzemy. Obiecał, że będzie odwiedzał grób ojca po naszym powrocie do domu. A może zgodziłabym się zostać z nim, zamieszkać w Moskwie i przyjeżdżalibyśmy tutaj razem? Był to szalony pomysł, ale bardzo mnie wzruszył. Nigdy, nawet dla największej miłości nie wyobrażałam sobie pozostania w tym okrutnym dla nas kraju. O tym naturalnie Loni nie powiedziałam. Wytłumaczyłam mu, że bardzo związana jestem z rodziną i z Polską. Nie mogę tu zostać.

W powrotnej drodze pytał jak sobie radzimy. Powiedziałam, że właśnie skończyła się nam pomoc ze Lwowa i nie wypłacili nam należnych za pracę pieniędzy. Jesteśmy po prostu w krytycznej sytuacji. Lonia wkrótce wybierał się do Moskwy. Po powrocie obiecał nas odwiedzić. Kiedy wróciłam do domu, w kieszeni kożucha mego ojca, w który byłam ubrana, znalazłam 200 rubli.

Lonia nas już nigdy nie odwiedził. Został powołany do wojska. Z początkiem wojny niemiecko-rosyjskiej poszedł na front i zginął. O tym dowiedziałam się dużo później, kiedy pracowałam z geologami.

Pod koniec uralskiego lata 1941 roku przyjechał do nas Iwan Iwanowicz Mielników, niewysoki przystojny blondyn, zaopatrzeniowiec ekspedycji geologicznej. Przyjechał na koniu i prosił, żebym wyszła na skraj lasu, gdzie on będzie na mnie czekał. Posadził mnie na konia i razem pojechaliśmy w tajgę. Iwan Iwanowicz powiedział mi, że w tym roku na pewno zwolnią nas spod opieki NKWD i zaproponują nam wyjazd do Uzbekistanu lub Kazachstanu. On sam kategorycznie nie radzi nam tam jechać. W tych republikach ludzie, choć wolni, żyją w gorszych warunkach niż my tu na Uralu. W bezleśnych stepach swoje gliniane lepianki ogrzewają suszonym krowim nawozem i na nim gotują posiłki. Są tam srogie zimy i upalne lata. Jeśli wam zaproponują pozostanie w jakiejś rosyjskiej wiosce na Uralu, bliżej stacji kolejowej, to zgódźcie się bez namysłu – powiedział.

Wszystkie otrzymane wiadomości przekazałam bratu i zaufanym ludziom z posesji. Naradzali się długo. Wielu z nich, w tym mój brat, było za wyjazdem do Azji.

W sierpniu 1941 roku do osiedla zajechało naczalstwo z Czusowej. Zwołali mieszkańców na zebranie. Przyjechał też nasz pierwszy komendant. Oznajmili nam oficjalnie, że jesteśmy wolni. Polska podpisała umowę pokojową z ZSRR, a Związek Radziecki jest w stanie wojny z Niemcami. Aby przeczekać wojnę, możemy wyjechać do republik azjatyckich ZSRR, gdzie jest cieplej niż na Uralu. Możemy też zostać w rejonie Czusowej. Przewiozą nas do wsi Promysła oddalonej o sześć kilometrów od stacji kolejowej w Tiopeł Górze. Kazali się namyślić i zdecydować, gdzie chcemy jechać.

Po moich serdecznych prośbach brat zgodził się zostać na Uralu, a z nami kilku sąsiadów z Edwardówki.

O tym, że miał rację Iwan Iwanowicz Mielników przekonałam się w latach sześćdziesiątych, kiedy jako pilot „Orbisu” pilotowałam polskie wycieczki do azjatyckich republik ZSRR.

## Jesteśmy wolni

Jesteśmy wolni. Zwolniono nas spod opieki NKWD. Mogliśmy jechać dokąd chcemy, gdybyśmy potrafili odpowiednio umotywić potrzebę takiego wyjazdu i dostali przepustkę z milicji.

Przewieziono nas do wsi Promysła, gdzie zamieszkaliśmy w domach tamtejszych Rosjan, stałych mieszkańców Uralu. W Promysłach działała Ekspedycja Geologiczna poszukująca platyny, złota i Diamentów. W tej ekspedycji zaczęła pracować garstka Polaków, którzy zdecydowali się zostać na Uralu. Sklep i stołówka były marmie zaopatrzone. Chleb wydawano na kartki i ciągle zmniejszano przydział. Zarobki nieduże, ale za to łatwiej było można dostać mleko dla dzieci. Henryś i Romek Musur zostali zatrudnieni przy cięciu bali na deski.

Zdaje się, że w 1941 roku (dokładnie nie pamiętam) otrzymaliśmy pomoc amerykańską. Były to używane ubrania jeszcze w dobrym stanie. Pamiętam, że ja dostałam cieniutki wełniany płaszcz z futrzanym kołnierzem i pantofle na szpilkach. Otrzymane rzeczy nie miały dla nas żadnego praktycznego zastosowania. Nadawały się jedynie na wymianę na mleko lub kartofle u miejscowej ludności... Dobre było i to w naszej trudnej sytuacji. Zostaliśmy odcięci od naszych bliskich we Lwowie. Zniknęły listy i paczki żywnościowe.

W Promysłach polscy drwale zamienili się w górników pod fachową opieką kilku starszych Rosjan, którzy byli za starzy, aby pójść na front. Niektórzy z nich pamiętali carskie czasy i prywatne kartele poszukiwaczy złota.

Kierownikiem filii ekspedycji, w której pracowałam, była młoda, 24-letnia inżynier geolog, Tamara Grigoriewna Bobrowa z Moskwy. Niewysoka brunetka, lekko pochylona, w okularach o grubych szklach krótkowidza. Była wspaniałą kobietą i człowiekiem. Wiecznie zapracowana i troszcząca się o wszystko i o wszystkich. Jej zastępcą był Walentin Iwanowicz Abramów, wysoki i chudy, wyglądał jak Don Kichot w okularach. Za uchem miał jakąś niegojącą się ranę i dlatego nie zabrano go do wojska. Ojciec jego był dyrektorem kopalni w Donbasie, a jego wujek, też inżynier geolog, mieszkał w Moskwie.

Tamara Grigoriewna powierzyła mi pracę zaopatrzeniowca w jej małej ekspedycji. Zaopatrywałam w prowiant ludzi pracujących w tajdze przy kopaniu szybów i przemywaniu urobku. Przewoziłam też pozyskany z urobku materiał do ostatecznej obróbki na osiedlu.

Praca w małych kopalniach była trudna. Należało wydrążyć kilkunastometrowy szyb i idące od niego podstemplowane boczne korytarze. Wykopaną ziemię z kamieniami wywożono na brzeg rzeki, do drewnianej fabryczki, w której zainstalowany był silnik na ropę i do stanowisk nad rzeką, gdzie przemywano wydobytą ziemię z kamieniami w drewnianych korytach. Do koryta puszczano wodę, a dwie kobiety specjalnymi łopatkami mieszały kamienie. Grubsze kamienie wyrzucały. Na gęstych sitach zostawały drobne kamienie i piasek, a w nim okruchy złota lub platyny, a czasem małe Diamenty. Wszystko, co zostawało po przemyciu urobku w fabryczce i w korytach nad rzeką pakowano w woreczki i odwożono do wsi. Tam pod czujnym okiem Walentyna Iwanowicza, w specjalnej pracowni, w rozsypanym na stołach piasku z kamyczkami kobiety szukały cennych kruszców. Znalezionymi diamentami opiekował się Walenty Iwanowicz. Było ich niewiele więc nosił je w pudełku od zapalek. Od czasu do czasu zaopatrywał je w odpowiednią metryczkę i wysyłał do bazy.

Z bazy w Czusowej do Promysła przyjeżdżał czasem z zaopatrzeniem dla geologów mój znajomy z Tiuszowej, Iwan Iwanowicz Mielników. Jego kolegów, których poznałam wysłano na front a on ze swoją żoną, piękną Marusią, pracował w zaopatrzeniu ekspedycji. Mimo że wielu zdolnych geologów musiało odejść na wojnę, bazy nie zamykano i kontynuowano ważne dla kraju poszukiwania.

Należy pamiętać, że góry Uralu i ich okolice, to największy spichlerz cennych wykopalisk Rosji. Są tam rudy żelaza, tytanu, magnezu, chromu, miedzi i niklu. Wydobywa się tam węgiel kamienny, węgiel brunatny, ropę naftową, gaz ziemny, łupki bitumiczne, sól kamienną, sole potasowe, azbest, miki i talk. Ze szlachetnych kamieni występują: ametysty, przezroczyste kryształy górskie, błękitne topazy,

aleksandryty i wysokogatunkowe diamenty. Szlachetne metale to: platyna, złoto i srebro. Słynne są też uralskie kamienie ozdobne, takie jak jaspisy, marmury, różnobarwne serpentynity, zielone wzorzyste malachity i różowy rodonit. Zresztą, cała tablica pierwiastków Mendelejewa kłania się nam na Uralu.

Podczas mojej pracy w Promysłach, pewnego dnia jesienią wybuchł pożar w małej fabryczce w lesie. Zapaliła się ropa. Ogień zaprószyli mali chłopcy, którzy obsługiwali silnik. Tamara Grigoriewna z Roztarganymi włosami i przerażeniem w oczach biegła z wiadrami wody i gasiła pożar. Pomagali nam przygodni myśliwi i kobiety, które znajdowały się w pobliżu. Fabryczka spłonęła. Na szczęście nie zapalił się las. Z wielkim podziwem obserwowałam odwagę i poświęcenie młodej dziewczyny – inżyniera geologa. Była małą kobietą, ale wielkim człowiekiem.

## Sąd

Kiedyś mieszkańcami Promysła wstrząsnęło przykre wydarzenie. Do wsi przyjechał sąd. Do wiejskiego klubu zwołano wszystkich mieszkańców osiedla. Na podium za stołem siedziało dwóch Milicjantów i sędzia, dwudziestoparoletnia dziewczyna.

Sądzono dwóch mężczyzn. U jednego z nich, siedemdziesięcioletniego starca, pracownika piekarni, znaleziono w domu dwa worki suchego chleba, prawdopodobnie ukradzionego z piekarni. Drugi, Polak, Józef Wiśniowiecki oskarżony był o to, że wracając z lasu ukradł dwie żerdzie z ogrodzenia dla krów. Ponieważ przestępstwa dokonano w stanie wojny, obydwu zasądzono po osiem lat więzienia.

Obaj obwinieni dawno podpadli milicji, która ściśle współpracowała z NKWD. Starzec należał do bogatszych mieszkańców wsi. Gdyby miał ziemię, nazywano by go kułakiem. Czekano tylko na okazję, aby go ukarać.

Nasz Wiśniowiecki był wysokim, przystojnym, około czterdziestoletnim mężczyzną. Był trochę nie-normalny, ale o tym wiedzieli tylko Polacy. Radzieccy zwiadowcy byli pewni, że jest on polskim oficerem ukrywającym się przed władzą.

Za saniami wiozącymi aresztowanych szły ich zrozpaczone rodziny i cała wieś płaczących ludzi. Było to wstrząsające widowisko. Jako dowód przestępstwa na saniach jechały worki z chlebem. Kara była sroga za naruszenie prawa radzieckiego. Jeden podkraadał chleb, który był podstawą życia, a drugi naruszył prawo własności. Ktoś przecież zagrodę zbudował dla swojej krowy, a Wiśniowiecki ją zburzył. Krowa mogła uciec do lasu, a to przecież żywicielka rodziny.

Wszystkim mieszkańcom Promysła brakowało chleba. Wielu z nich nie miało krów i mleka, ale żaden z nich nie spodziewał się takiej kary dla oskarżonych. Obaj osądzeni nigdy z więzienia nie wrócili.

Józefa Wiśniowieckiego wywieziono na Ural z żoną, dwoma synami i teściową. Żona i teściowa zmarły na Uralu. Synowie wrócili do Polski i zamieszkali na ziemiach zachodnich.

## Delegacje służbowe

W niewielkich kopalniach doświadczalnych na Uralu potrzebne były lampy górnicze, których baza naszej ekspedycji nam nie przysyłała. Moje kierownictwo zdecydowało, że należy je kupić tam, gdzie są duże kopalnie, na przykład węgla. Oddelegowano mnie do najbliższej od nas położonego miasta górniczo-hutniczego, Niżnego Tagiłu. Miasto to przywitało mnie mgłą pyłu. Większość jedno i dwupiętrowych domów pamiętała carskie czasy. Nad ulicami, na żelaznych linach cicho przelatywały blaszane wagoniki załadowane rudą żelaza i wracały puste głośno grzechocząc blachą. Na przedmieściach miasta górowała ogromna huta.

Ja udałam się do biura jednej z kopalń, gdzie poznałam dwóch Żydów z Polski. Ucieszyli się bardzo ze spotkania ze mną. Zaprośili mnie na obiad i pomogli kupić kilka lamp, co wcale nie było takie łatwe. Odprowadzili mnie w końcu na stację i dali konserwy na drogę. Obaj pochodzili z Warszawy, marzyli o końcu wojny i powrocie do domu. Tę delegację służbową uważałam za udaną.

Następny wyjazd odbyłam do miasta Kizil, stolicy Zagłębia Kizilskiego. W Czusowej miałam przesiadkę. Przy wsiadaniu do pociągu w stronę Kizihu, w ogromnym tłoku skradziono mi torebkę z dokumentami i biletem kolejowym. Kiedy zorientowałam się, że nie mam torebki, pociąg ruszył. Wśród pasażerów znalazł się milicjant. Zgłosiłam mu kradzież i zapytałam co mam dalej robić. Powiedziałam w jakim celu jadę do Kizihu i nie wiem jak wrócę do domu. Pieniądze na ewentualne zakupy miałam schowane w specjalnej kieszeni w podszewce płaszcza.

Milicjant powiedział mi, żebym położyła się na najwyższą półkę w przedziale wagonu i niczym się nie martwiła. On się mną zaopiekuje. Posłuchałam stróża prawa, nie miałam przecież innego wyjścia. Kiedy przyszli kontrolerzy dokumentów i biletów, milicjant powiedział, że jestem pod jego opieką i spokojnie jechałam dalej.

Do Kizilu przyjechaliśmy wczesnym rankiem. Mój opiekun pokazał mi, gdzie mieszczą się biura kopalń i powiedział mi, żebym o piątej po południu czekała na niego przed dworcem kolejowym. Zaczęłam wędrówkę po kopalniach. Okazało się, że w kopalniach Kizilu brakuje lamp górniczych i nie mogą ich sprzedać.

Niewiele pamiętam z tego miasta, wiem tylko, że dworzec kolejowy był okazały. W centrum miasta znajdowała się długa ulica, wzdłuż której stały wielopiętrowe domy mieszkalne. Pamiętam też jakiś ogromny budynek. Może to był teatr, a może dom kultury. Dalej od centrum domy były rozrzucone na stokach wzniesień.

Przed godziną piątą czekałam już na dworcu kolejowym. Jakaś stara kobieta sprzedawała dwa jabłka. Do dziś widzę te rumiane owoce na chudziutkiej dłoni staruszki. Kupiłam te jabłka. Zapłaciłam za nie dużo, bo 10 rubli. Po powrocie z podróży podarowałam je mojej nowej opiekunce, babci Dielmowej, która tak jak i ja dawno nie widziała jabłek.

Kiedy zegar na dworcu wybił piątą godzinę, zjawił się mój milicjant. Poszliśmy na peron i wsiadliśmy do pociągu jadącego do Czusowej. Powtórzyła się sytuacja z kontrolerami i nad ranem wysiedliśmy w Czusowej. „Ja tu zostaję, a ty niedługo pojedziesz dalej. Poczekaj na swój pociąg. Ja przyjdę cię odprawić” – powiedział milicjant.

I rzeczywiście, kiedy nadjechał pociąg zjawił się mój opiekun. Podszedł do wagonu dla aresztowanych, przekazał mnie konwojującemu wagon milicjantowi i polecił wysadzić w Tioplej Górze, celu mojej podróży.

Moja wdzięczność dla uczynnego milicjanta nie miała granic. Trudno sobie dziś wyobrazić, jak się denerwowałam, czy milicjant nie zawiedzie. W tamtych czasach w ZSRR ludzie nie mogli przemieszczać się z miejsca na miejsce bez dokumentów. Bez dokumentów nie miałam prawa wsiąść do pociągu, a bez kartek żywnościowych, które mi też zginęły, nie mogłam kupić nic do jedzenia.

Zbliżała się wiosna 1943 roku. Mieszkańcy wsi Siewiernaja i mieszkający tam geolodzy zdecydowali, że należy coś posiać na leśnych polanach. Miało to być coś, co szybko urośnie i wzbogaci skromny jądłospis mieszkańców. Należało zdobyć nasiona. Uznano, że będzie można je dostać w Baszkirskiej Autonomicznej Republice, która graniczy z Uralem, a część jej mieszkańców trudni się rolnictwem.

Wydelegowano mnie i starszą ode mnie Rosjanę, Nataszę. Za pieniądze niewiele można było kupić. Wiedzieliśmy, że Baszkirzy piją dużo herbaty. Zebrano więc przydziałowe paczki herbaty, zapakowano je w dwa plecaki i wysłano nas w drogę.

Przy szlaku kolejowym między Tiopłą Górą a Czusową stał słup graniczny między Europą i Azją. Jechaliśmy do Baszkirii leżącej w europejskiej części ZSRR. Jest to górniczo-przemysłowa, a także rolnicza republika, bogata w naftę, rudy żelaza, złoto, węgiel i inne zasoby mineralne. Celem naszej podróży była stolica republiki – Ufa.

Trwała wojna i wszystko co żyło pracowało dla frontu. W mijanych miastach dymiły huty i fabryki maszyn. W nich pracowały kobiety i wybronieni od frontu mężczyźni, wybitni specjaliści. Od Czusowej jechaliśmy wzdłuż Uralu na południe do węzłowej stacji, której nazwy nie pamiętam. Prawdopodobnie był to Bakał, ale nie jestem pewna. Przez tę stację co drugi dzień przejeżdżał dalekobieżny pociąg Władywostok – Moskwa. Do tego pociągu powinnyśmy wsiąść, by dostać się do Ufy.

Niedługo po naszym przyjeździe nadjechał pociąg. Nie można było jednak wsiąść do tego pociągu. Wszystkie miejsca na dachu i na stopniach wagonów były zajęte. Konduktorki nie chciały z nami rozmawiać, choć pokazywałyśmy ważne bilety. Kazały czekać na następny pociąg. Pociąg odjechał. Wszliśmy na dworzec, a mnie rozboleł ząb. Po jakimś czasie przyjechał pociąg, z którego wysiadł przywoicie, jak na owe czasy ubrany, już niemłody człowiek. Podszedł do nas i zapytał, czy spóźnił się na pociąg do Moskwy. Powiedzieliśmy, że tak i musi czekać na następny. My też czekamy na ten pociąg, bo do tego, który odszedł nie mogliśmy się dostać.

Zaczęłam płakać z bólu. Nasz nowy znajomy powiedział, że jest Łotyszem, doktorem chemii i pójdzie do miasta znaleźć jakiś środek przeciwbólowy. Po pewnym czasie wrócił nasz doktor i przyniósł wapno. Na zapalcie włożył mi grudkę wapna na ząb i wkrótce ból ustał. Nowy znajomy poradził nam także, abyśmy w ciągu dnia znalazły sobie nocleg u miejscowych ludzi, bo spanie na dworcu jest niebezpieczne. Opowiadał, że z żoną i dziećmi znalazł się na Syberii. Tam go odszukały władze z Moskwy i jako wybitnego specjalistę wezwały do stolicy. Ma specjalne dokumenty i jak tylko przyjedzie jego pociąg, na pewno nim odjedzie.

Posłuchałyśmy rady Łotysza, przenocowałyśmy u samotnej Rosjanki, której mąż był na froncie. Rano zjawiłyśmy się na dworcu. Przyjechał nasz pociąg podobnie przeladowany i znów się do niego nie dostałyśmy. Widzieliśmy tylko, jak z honorami wsadzano do pociągu naszego znajomego doktora chemii.

Zrozpaczone stałyśmy na peronie i patrzyłyśmy za odjeżdżającym pociągiem. Podszedł do nas młody człowiek, umazany pyłem węglowym i zapytał, czy chcemy jechać dalej. Chciałyśmy. Zaproponował nam jazdę w skrzyni na węgiel, za parowozem towarowego pociągu. On nas wysadzi, gdzie należy i dalej możemy jechać normalnie. Zgodziłyśmy się nie mając innej możliwości dojazdu do Ufy.

Noc spędziliśmy na węglu. Wczesnym rankiem pociąg zatrzymał się i czarny jak murzyn chłopak, pewnie pomocnik maszynisty, wysadził nas z węglarki. Zapłaciliśmy mu za przysługę i wyszliśmy na peron. Na stacji było dużo pociągów towarowych. Pogwizdując pędziły w różne strony po ogromnej płataninie szyn.

Budynek dworca był nieduży i jakby przysiadł przy samych szynach. Obok dworca stała żelazna kadź z gorącą wodą dla podróżnych, którzy wysiadali z czajnikami z pociągów i zaparziali sobie herbatę na drogę. W dworcowej sali siedziały na podłodze kobiety czekając na swoje pociągi. My byłyśmy czarne od węglowego pyłu i z trudem udało nam się umyć twarze.

Nadjechał pociąg do Ufy. Stałyśmy naprzeciw wagonu konwojowanego przez żołnierza. Na stopniu siedziały dwie kobiety. Żołnierz zapytał nas. „Dziewczeta chcecie jechać dalej?” – tak, odpowiedziałyśmy. Na to żołnierz zwracając się do kobiet, powiedział. „Starczy wam podróży, teraz one pojedą dalej” i kazał nam zająć miejsce kobiet. Usiadłyśmy na stopniach, plecaki przywiązałyśmy do poręczy i ruszyłyśmy w podróż.

Do Ufy dotarliśmy szczęśliwie. Na dworcu podeszła do nas sympatyczna kobieta i zaproponowała nocleg. Skorzystałyśmy z jej propozycji. Ucieszyłyśmy się, że będziemy mogły się umyć. Opowiedziałyśmy gospodyni, jaki jest cel naszej podróży. Poradziła, żeby pojechać przygodnym samochodem na wieś, może tam dostaniemy potrzebne nam nasiona.

Następnego dnia pojechaliśmy rozklekotaną ciężarówką prowadzoną przez szofera, który źle mówił po rosyjsku, do oddalonej o kilkanaście kilometrów od Ufy wsi baszkirskiej. Domy wsi były ulepione z gliny i słomy. W izbie centralne miejsce zajmował żelazny kocioł, w którym gotowano posiłki i na jego gorących ścianach pieczono placki.

Na wsi baszkirskiej panowała bieda. Dzieci zbierały na polach zeszłoroczne kłosa. Mielono je i pieczono z nich chleb. Kobiety zaprzęgały się do pługów, by orać pole. Miałyśmy ze sobą czarny, otrzymany na kartki chleb. Dałyśmy go dzieciom. Jadły go powolutku, by nacieszyć się jego smakiem. Żadnych nasion nie dostawałyśmy. Straciłyśmy tylko dzień i zobaczyłyśmy ludzką biedę.

Następnego dnia wybrałyśmy się na bazar do Ufy. Tu zdobyłyśmy wreszcie nasiona. Część wymieniliśmy za herbatę, a część kupiłyśmy za pieniądze.

Ufa była pierwszym większym miastem, które oglądałam w Związku Radzieckim. Szerokie ulice, okazałe budowle, tramwaje i autobusy. Wsiadłyśmy do tramwaju, by pojechać do odległego bazaru. Za nami wszedł do wagonu wojskowy inwalida wojenny z medalami na piersi. Pod pachą trzymał kurę. Nagle zobaczyła go konduktorka i zaczęła krzyczeć, że w tramwaju zwierząt nie wolno wozić. Pasażerowie ujęli się za żołnierzem, mówili, że to inwalida i prosili, by pozwoliła mu dojechać do celu. Konduktorka uparła się. Zatrzymała tramwaj i biedny kaleka ze swoją kurą został na środku jezdni.

Po zakupieniu potrzebnych nasion przerażała nas myśl o powrocie do domu. O swoim zmartwieniu powiedziałyśmy gospodyni. Poradziła, aby dać jej pieniądze, ona kupi wódkę i przyprowadzi swojego kuzyna kolejarza. My poznamy go i on nam pomoże wsiąść do pociągu. Skwapliwie zgodziłyśmy się na tę propozycję. Tego samego dnia po południu przyszedł przystojny chłopak w mundurze kolejarza – Misza, kuzyn naszej gospodyni.

Gospodyni nakryła stół, postawiła pół litra wody kolońskiej, a także kwaszone ogórki i soloną słoninę. Zasiadłyśmy do poczęstunku. Całe szczęście, że moja Natasza nie gardziła pachnącym trunkiem, więc piła za siebie i za mnie.

Misza kazał nam być na dworcu na drugi dzień rano. Kiedy zjawiłyśmy się na stacji, kolejarz już na nas czekał. Do pociągu wsadził nas z drugiej strony peronu, gdzie nikt nie tłoczył się do wejścia. Drzwi do wagonu otworzył własnym kluczem, znalazł nam miejsce siedzące i życzył szczęśliwej podróży.

Dojechaliśmy do domu bez przeszkód. Z takim trudem zdobyte nasiona posiano na polanach, na nagrzanych zboczach gór. Tylko ja już tych warzyw nie jadłam. Wyjechałam do Polskiego Wojska.

## Siewierna

Pod koniec 1942 roku przeniesiono mnie do wsi Siewierna. Pojechałam tam z Tamarą Grigoriewną i Walentinem Iwanowiczem Abramowem. Mieliśmy przygotować mieszkańców do wiosennych prac poszukiwawczych. Werbowaliśmy nowych robotników spośród miejscowych kilkunastoletnich chłopców, kobiet i dziewcząt.

Mieszkańcy Siewiernej, to ludzie prości i dobrzy. I do nich wtargnęła wojna. Wyrwała z ich chat najdroższe im osoby: synów, braci, ojców i mężów. Później docierała tam w postaci małych, trójkątnych listów misternie złożonych z wyrwanych z zeszytów kartek. Były to listy z dalekiego frontu, bądź oficjalne, zawiadomienia o bohaterskiej śmierci, któregoś z mieszkańców osady.

Zamieszkałam u jednej z mieszkanek osiedla, emerytki Jeleny Prokopiewny Dielimowej. Jelena Prokopiewna miała krowę, dwie owce i kilka kur, a w lesie na polanie działkę pod uprawę kartofli.

Dzierżawiła też polanę, z której zbierała trawę dla swego bydła. Jak na stosunki uralskie była zamożną obywatelką.

Babcia, jak ją zwykłam nazywać, była energiczną staruszką o czułym sercu. Jej domek, zbudowany z solidnych drewnianych bali, stał na skraju osiedla w głębokiej kotlinie otoczonej zewsząd górami o zalesionych stokach. Było tam zacisznie i spokojnie.

Wśród chat wieczorami rozlegał się rzewny głos samotnej harmonii. To grała ciocia Głasza. Dźwięki harmonii leciały nad czubkami wysmukłych świerków i brzoź i wałęsały się po przełęczach i rozpadliskach, odbijały się o skały, wracały ciche i smutne, nie te same.

Babcia z miejsca oświadczyła, że do moich obowiązków będzie należało noszenie wody z rzeki. Nosiłam ją codziennie rano. Napelniałam stojącą w kuchni beczkę i poiłam zwierzęta. Jelena Prokopiewna przygotowywała dla nas posiłki z tego co ja dostawałam na kartki i ze swoich zapasów.

Na środku Siewiernej, gdzie dwa pagórki schodziły w dół do rzeki, stała cerkiew bez krzyża. Zrobiono z niej dom kultury i chodziły tam tańczyć miejscowe dziewczęta. Przygrywała im na harmonii ciocia Głasza.

Choć nie modlono się w cerkwi, to w każdym domu były święte ikony. Wisiały w rogu izby z przewieszonym na nich haftowanym ręcznikiem.

Niedaleko od cerkwi stał duży budynek szkolny. Przy szkole mieszkała sympatyczna, już niemłoda nauczycielka. W jej mieszkaniu uchowało się stare małe pianino. Do tej nauczycielki chodziłam z Walentynem Iwanowiczem i słuchałam muzyki. Nauczycielka z inżynierem grali na pianinie i śpiewali rosyjskie pieśni.

Kiedy wracałam wieczorem do domu, babcia Dielimowa gderała: „dobrze, że twoja mama nie widzi, jak ty późno wracasz i żeby to było ostatni raz”. Sama zaś zapraszała Walentyna Iwanowicza do kuchni na herbatę i partyjkę kart. Ja już dawno spałam w izbie obok, kiedy Abramów wychodził od babci po karciany rozgrywkach i po herbacie z blinami.

Sypiałam w jedynej izbie babcinego domu. Babcia na dużym drewnianym łożu, a ja na starym polowym łóżku. Nóżki łóżka stały w blaszanych pudełkach z naftą, żeby mnie ochronić przed pluskami. Ale te dranie spadały na mnie z sufitu i zjadały swoją porcję mojej krwi.

W mieszkaniu było bardzo czysto. Podłoga wyszorowana piaskiem i szuwarem z rzeki, lśniła bielą. Chodziło się po niej w wełnianych grubych skarpetach, które babcia sama robiła na drutach.

W kuchni stał nieduży stół, drewniana ława, szafka na naczynia, beczka z blaszanym czerpakiem i dwa stolki. Z kuchni wchodziło się do piwniczki, gdzie przechowywano bardzo cenne na Uralu kartofle. Na stole stał, niczym niezastąpiony w rosyjskim domu, samowar. Było tam dość ciasno, ale babcia poruszała się sprawnie w swoim małym królestwie.

Połowę kuchni zajmował duży piec. Był tak zbudowany, by na nim mogło spać kilka osób. Wchodziło się na niego po drewnianej drabince.

Wszystkie potrawy gotowano w piecu opalonym drzewem. Garnki podobne do żeliwnych gruszek, wstawiało się do pieca przy pomocy specjalnych uchwytów na kiju. Na kiju wstawiano też do pieca patelnie. Na rozżarzonych węglach smażyono bliny i racuchy. Trzeba było nie lada wprawy, by posługiwać się tymi kijami. Mnie się to nie udawało.

Bardzo zmyślnie budowano uralskie chaty. Kilka metrów od domu połączonego ze stajnią i spiżarnią stał wysoki drewniany parkan. Od domu do parkanu były przerzucone żerdzie, na które latem kładziono siano. W ten sposób powstawało duże podwórko osłonięte od zimowych zawiei i śniegów.

Kilkadziesiąt metrów od domu stał mały domeczek, bania, czyli uralaska sauna. Tam rozgrzewało się palenisko z kamieniami, które polewało się wodą dla wytworzenia pary. Na specjalnych półkach można się było wyparzyć i umyć. Do mycia służyły miotełki z brzoźowych gałązek. Latem gałązki ścinano wraz z liśćmi i suszono na wietrze. W bani miotełki moczone w wodzie i chłostano nimi ciało. Po takim masażu kąpiący czuł się rześko i zdrowo. Po powrocie z bani należało wypić dużo gorącej herbaty i odpocząć. Do bani chodziło się w sobotę po pracy.

Prawdziwe życie uralskich ludzi poznałam dopiero wtedy, gdy zamieszkałam u Jeleny Prokopiewnej. To była zapobiegliwa gospodyni. W jej spiżarni stały beczki z zalanyymi wodą borówkami i żurawinami. Były też beczki z solonymi grzybami. Wisiały wianki suszonych grzybów, woreczki z suszonymi jagodami łochyni, borówkami i malinami. Wisiało w białych workach mrożone mleko i mrożone rosyjskie pielnieny (kołduny). Spiżarnia była jednocześnie lodówką, w której świetnie przechowywały się produkty przez całą długą zimę.

Moje wspaniałe życie u babci nie trwało zbyt długo. W dniu 8 maja 1943 roku moskiewskie radio nadało komunikat o formowaniu się na terenach ZSRR Pierwszej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. W czerwcu zostałam powołana do wojska.

W domku babci rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do mojego wyjazdu. Nagle stałam się ośrodkiem zainteresowania całej osady. Moje rówieśnice zaczęły odnosić się do mnie ze szczególnym szacunkiem, zazdrościły mi. Każda z nich powołanie na front uważała za szczególny zaszczyt i wyróżnienie.

W dniu wyjazdu przed domkiem babci zebrała się spora grupa mieszkańców osiedla. Ciocia Głasza grała na swojej ulubionej harmonii, dziewczęta śpiewały rosyjskie pieśni. Babcia ukradkiem ocierała łzy. Całą gromadką ruszyliśmy w kierunku stacji. Świeciło czerwcowe słońce. Żłociste promienie załamywały się na gałęziach drzew i muskały wielobarwne kielichy kwiatów. Wydeptaną w tajdże ścieżką szli radzieccy ludzie i odprowadzali polską dziewczynę do wojska, na front. Szły zapłakane starsze kobiety i rozśpiewane młode dziewczęta. Dziwny to był pochód, ale jakże wymowny i wzruszający.

Na małej stacyjce nastrój był uroczysty, rodzinny. Nadjechał pociąg. Babcia nie chciała wypuścić mnie z objąć. W ostatniej chwili wskoczyłam do pociągu. Głos harmonii i śpiew utonął w stukocie kół. Osiedle pożegnało jeszcze jednego żołnierza, który odjeżdżał na front.

Na stacji Tiopła Góra, przez którą jechałam, czekał na mnie brat Henryś. Przyszedł się pożegnać. Płakał. „Pozdrów ode mnie Polskę. Ja do niej nie wrócę. Ja to wiem” – powiedział przez łzy. Płakaliśmy oboje. Pociąg stał krótko i krótkie było pożegnanie. Ostatnie objęcia i pocałunki. Zapamiętałam smutną sylwetkę mego brata tułacza i jego twarz mokrą od łez.

Los jest jednak okrutny. Za rok na tej samej stacji Henryś stracił przytomność i umarł w szpitalu w Tioplej Górze.

Wdrapałam się na najwyższą półkę w zupełnie pustym przedziale. Pod głowę położyłam worek z wyprawą przygotowaną dla mnie przez babcię. Długo płakałam nad naszym losem, losem mego brata i tak bardzo ukochanych przez niego żony i dzieci. Byłam nieszczęśliwa i bezradna jak tysiące ludzi w świecie ogarniętym wojną i okrucieństwem.

Gorycz rozstania osładzała mi wizja wymarzonej, wolnej i niepodległej Polski, do której wracałam drogą najkrótszą – szlakiem Warszawa – Berlin.

Pociąg wiozł mnie do Sielc nad rzeką Oką, do wioski, obok której w osiedlu z namiotów zaczęto organizować pierwsze jednostki

Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. „Wczoraj łach – mundur dziś” mówiły słowa sieleckiej piosenki wojskowej. Byłam szczęśliwa że jestem jedną z tych co zmienili cywilne ubranie na zaszczytny mundur polskiego żołnierza.

## Ural 1944

Wiosną 1944 roku moja jednostka, w której służyłam, przekroczyła dawną granicę Polski. W Kiwercach dotarł do mnie list od mojej bratowej Stefci z Uralu. Napisała, że brat Henryś nie żyje Umarł tragicznie. Dostał powołanie do wojska, ale komisja poborowa orzekła, że jest chory i do wojska się nie nadaje. Wysłano go więc do batalionu pracy. Tam też się nie nadawał, więc odesłano go do domu Znajdował się w głębi Rosji, o kilka dni podróży do Uralu W drodze w pociągu skradziono mu karki na chleb. Do Tioplej Góry dojechał zupełnie osłabiony. Kiedy wysiadł na stacji, upadł. Jakaś kobieta chciała mu pomóc. Ponieważ prosił o chleb, pobiegła ze swoją kartką by go kupić. Wszystko to trwało długo. Kiedy w końcu zabrano go do szpitala nie było dla niego ratunku. Umarł nie zobaczywszy żony ani dzieci.

Zrozpaczona po śmierci brata, napisałam podanie do generała Berlinga z prośbą o urlop, przedstawiając ciężką sytuację bratowej i jej trojga dzieci. Dostałam miesiąc urlopu. Do Kijowa dojechałam ciężarówką. Dalej jechałam pociągiem przez Moskwę.

W Moskwie poszłam do Związku Patriotów Polskich gdzie zastałam Andrzeja Witosą, wiceprzewodniczącego związku i przedstawiłam mu sytuację mojej rodziny na Uralu. Witos zlecił wydać mi z darów UNRRA dwie walizki ubrań i konserwy dla moich bliskich Z tym cennym bagażem wsiadłam do pociągu w Moskwie. W Permie miałam przesiadkę. Kiedy na stacji stanęłam przed okienkiem Woj. - skowej Komendy, by podstemplować rozkaz wyjazdu, oficer dyżurny zdziwił się widząc mój mundur. Kazał mi odejść i zaczekać Wiedziałam, że oficerowie się zmieniają. Pomyślałam, że może następny nie będzie taki podejrzliwy. Zdarzały się bowiem wypadki że Polacy nie wracali z przepustek w dalekie Rejony Związku Radzieckiego. Miejscowe władze w ramach czujności patriotycznej zatrzymywały dziwnie umundurowanych żołnierzy i często nie można ich było odnaleźć. Noc przesiedziałam na dworcu. Rano zdjęłam rogatywkę i w tłoku podsunęłam mój po rosyjsku napisany dokument. Udało się. Do Tioplej Góry dojechałam bez przeszkód.

Bratową zastałam załamana psychicznie. Dzieci zabiedzone. Czesiu, mój najstarszy bratanek chodził do pracy boso. Bardzo się przydały buciki, które mu przywiozłam z Moskwy. Wszyscy cieszyli się moim przyjazdem, a Czesiu chciał ze mną jechać na front.

Henrysia pochowano na miejscowym cmentarzu w podmokłej kotlinie, gdzie stare groby zarastał bujny las. Leżał w skromnej mogile pod brzozowym krzyżem w odległości 80 kilometrów od grobu swego ojca.

Bratowa Stefcia powiedziała mi, że po śmierci Henrysia przyszedł do niej Walenty Iwanowicz Abramów, przyniósł jej 500 rubli i wiadro kartofli. To był dla niej wielki dar.

Mój pobyt w Promysłach trwał tylko kilka dni. Obliczyłam sobie, że do końca urlopu zdążę jeszcze odwiedzić rodzinę we Lwowie, który został już wyzwolony spod niemieckiej okupacji. Pożegnałam moich najbliższych, podziękowałam Walentynowi Iwanowiczowi za pomoc okazaną bratowej i prosiłam o dalszą opiekę nad nią i jej dziećmi. Walenty Iwanowicz wrócił właśnie z Siewiernej do Promysłów, gdzie kontynuował swoją pracę. Prosił, żebym przekazała list i pozdrowienia jego wujowi i rodzinie mieszkającej w Moskwie.

W powrotnej drodze z Uralu na trasie Perm – Moskwa, miałam atak malarii. Ta choroba dopadła mnie w Sielcach nad Oką.

Siedziałam w pociągu wtulona w kąt przedziału. W przedziale wszystkie półki i miejsca stojące były zajęte przez radzieckich żołnierzy. Nagle poczułam straszne zimno. Po kościach przelatywał mi mróz i trzęsłam się jak w galarecie. Dzwoniłam zębami. Siedzący obok mnie żołnierze zapytali co mi jest. To malaria, odpowiedziałam. Szybko zwolniono środkową półkę, położono mnie na niej i nakryto płaszczami.

Po jakimś czasie zrobiło mi się bardzo gorąco. Pot strugami spływał z twarzy. Myślałam, że nie wytrzymam tego żaru i zaczęłam zrzucać z siebie płaszcze. „Niet dziewczka, nie nada. Przeziębisz się. Przyniosę ci chininę i to zaraz przejdzie” – powiedział jakiś żołnierz i okrył mnie płaszczem. A ja roztałałam się w gorączce.

Przynieśli chininę. Zażyłam ją i usnęłam. Obudziłam się zupełnie zdrowa. W przedziale panował tłok, tylko niektórzy pasażerowie się zmienili.

Wracając z Uralu na front miałam przesiadkę w Moskwie. Zostało mi dużo czasu do odejścia mojego pociągu do Lublina. Odwiedziłam rodzinę wujka Walentyna Iwanowicza Abramowa. Zastałam w domu jego ciocię i kuzynów. Mieszkali w dużym, czteropokojowym mieszkaniu. W salonie stał piękny fortepian, na którym grał kilkunastoletni kuzyn Walentyna Iwanowicza. Oddałam list z Uralu i przekazałam pozdrowienia. Przyjęto mnie bardzo serdecznie. Byli to uroczy, kulturalni ludzie. Trudno się było z nimi rozstać. Opowiadaniom nie było końca. Współczuli mi moich przeżyć i problemów. Bardzo miło wspominam to spotkanie, jakby odbyło się ono w innym świecie.

Do Lwowa jechałam przez Lublin. Nie było jeszcze kolejowego połączenia ze Lwowem. Dalej podróżowałam radziecką ciężarówką. Wtedy ciężarówki jeździły uzbrojonymi kolumnami, bo zdarzało się, że na pojedyncze pojazdy napadały bandy UPA.

We Lwowie zastałam wszystkich bliskich w zdrowiu. Przypadł mi przykry obowiązek powiadomienia mamy, że Henryś nie żyje. Była ogromna rozpacz w całej rodzinie. Po kilku dniach wyjeżdżałam. Jechałam znów przygodną ciężarówką z radzieckimi żołnierzami do Kazimierza nad Wisłą. Tam aktualnie stacjonowała moja jednostka.

Do dziś pamiętam drobną postać mojej mamy, jak zapłakana stoi na środku drogi lubieńskiej we Lwowie i żegna mnie odjeżdżającą na front z żołnierzami tej samej armii, która wywozła jej najbliższych na Ural.

Do mojej jednostki dotarłam, kiedy pułk, w którym służyłam szykował się do wymarszu. Zanim doszliśmy do prawobrzeżnej Warszawy nasze oddziały stoczyły szereg walk z nieprzyjacielem. Byliśmy stale nękani przez bojowe lotnictwo okupanta.

W Warszawie wybuchło powstanie. To było wielkie przeżycie dla nas nie mogących pomóc powstańcom. Naszym żołnierzom nie udało się utrzymać przyczółka na Czerniakowie. Niemcy bronili się zaciekle i niszczyli miasto. Dopiero w styczniu w 1945 roku, po przygotowaniu artyleryjskim wszystkich dział zgromadzonych na prawym brzegu Wisły, weszliśmy do zburzonej stolicy, przez łód na Wiśle od strony Legionowa.

W wojsku służyłam od czerwca 1943 do końca 1945 roku. W szeregach artylerii 1 Armii WP brałam udział w wyzwoleniu Warszawy, Bydgoszczy i w walkach o Wał Pomorski. Swoją wojenną wędrówkę zakończyłam na przedpolach Berlina z 19 pułkiem 4-tej Brygady Artylerii Przeciwpancernej.

W kilka dni po oficjalnym zakończeniu wojny z grupą oficerów pojechaliśmy do zdobytego Berlina. To ogromne miasto, straszło ruinami domów, przeoranych bombami aż do piwnic. Z ocalałych okien zwisały białe płachty kapitulacji. Wyglądało to tak, jakby gigantyczne pranie rozwieszono na upiornych rusztowaniach dumnego miasta.

Mimo woli nasuwało się okrutne porównanie: Warszawę palono od dołu, a więc osunęła się martwa w gruzy, tworząc ogromną, ropiejącą ranę na ciele zbolalej Polski; a to miasto stało harde, broniąc swych strasznych racji. Jego śmierć przyszła z góry. Ściany zburzonych domów sterczały złowrogo, wytrzeszczając oczodoły okien, jeszcze chciały grozić, ale już powiewały z rezygnacją opuszczonymi w dół białymi flagami poddania.

Tak wyglądało miasto, z którego wyruszyła śmierć na podbój Europy. Szliśmy do tego miasta w dalekim pochodzie, niosąc wolność poprzez pola bitew usianych mogiłami poległych towarzyszy broni.